

Kazimierz Ślęczka

Milczenie filozofów (impresja zjazdowa)

Na zakończonym właśnie toruńskim VI Polskim Zjeździe Filozoficznym (4-9 września 1995) bodajże w żadnym z 600 (sześciuset!) tytułów wystąpień nie pojawiło się słowo „marksizm” ani „marksistowski”, nikt nie określił siebie mianem „marksista”. Na poprzednim zjeździe przed ośmiu laty rej wodzili marksiści i tematów marksistowskich nie brakowało. Cud? W każdym razie rzecz zastanawiająca. Marksizm rozwiął się nagle niczym widmo, choć – dalibóg – przed paru zaledwie laty wyglądał wcale jeszcze krzepko, a przynajmniej tak się wydawało.

Że nic w tym dziwnego? Że gdyby w międzyczasie nie zmienił się ustrój, rzecz doprawdy graniczyłaby z cudem, ale po zawaleniu się rządów monopartii powołującej się na marksizm, zjawisko jest zgoła zrozumiałe? Że to takie proste: marksizm już nikogo nie interesuje, a dawni marksiści szybko wyparli się dotychczasowej wiary? Najprzód nabrali wody w usta, a kiedy znów przemówili, woda popłynęła już niemarksistowska, czasem nawet – święcona? Proste! Otóż nie, chyba jednak nie takie proste.

Z całej Polski tłum około ośmiuset (!) filozofów – na co dzień żyjących w diasporze pośród mas zwykłych, szarych obywateli, uważających ich często za aberrantów lub nawiedzonych – wypełził ze swych kryjówek, zebrał się, rzecz można: skłębił, w jednym gościnnym i przytulnym miejscu (Toruńskie Miasteczko Uniwersyteckie), i... nic. Zdawałoby się, że coś takiego wybuchnie. Nie wybuchło. Ot, pogawędzili sobie nieomal o wszystkim, o czym tylko filozofowie zwykli rozprawać, podyskutowali, porozstrząsali. Prawie o wszystkim. Z jednym starannie i konsekwentnie respektowanym wyjątkiem. Nie byle jakim. Z wyjątkiem marksizmu. A przecież już na

wstępie Przewodniczący podkreślił ciągłość życia filozoficznego, przekazując dlatego właśnie prowadzenie pierwszej sesji Przewodniczącemu poprzedniego Zjazdu. I był potem czas na każdy temat. Bo wszystko, co ktokolwiek zgłosił, otrzymało swą, co najmniej dwudziestominutową szansę zaprezentowania.

Nie było też deklaracji grubej kreski i nakazu nieoglądania się wstecz. Przeciwnie. Nieźle oberwało się przecież innej wielkiej tradycji filozoficznej, innej przeszłości, której relikty, rzadkie bo rzadkie, funkcjonują nadal w teraźniejszości: szkole lwowsko-warszawskiej. I własnych źródeł w niej szukano, i cieniów, i blasków. Zaliczano się do niej i odcinano od niej. O marksizmie zaś ani słowa. Publiczną próbę: zajęcia się tą kwestią odrębnie odesłano praktycznie *ad calendas grecas*. Druga próba: nawiązania do tej tradycji, już li tylko w kontekście osądu nad szkołą lwowsko-warszawską, nie zmieściła się w tłoku na wokandzie.

Większość czekała na wybuch, nie na cud. A doczekała się cudu. Widać nad Wisłą o to łatwiej. Jakiż musiał być polski marksizm, i jakimi ludźmi polscy marksiści, skoro coś takiego okazało się możliwe? Jakimi są dziś polscy filozofowie, wszak różnych orientacji, że wszyscy – milczą? Potrafią, i chcą, milczeć? Dlaczego?

Nie, nie wszystko da się sprowadzić do oportunistu. Ani wtedy, ani dziś. Choć to najprostsze z najprostszych wyjaśnienie gapie spoza środowiska uznają za w pełni zadowalające. Cóż, kto w przeszłości z oportunistycznych i koniunkturalnych względów deklarował się jako marksista, ten dziś – zapewne z tych samych względów – stał się kimkolwiek innym. Ale czyż ludzie tego pokroju wyczerpują zbiór polskich filozofów minionego okresu? Nawet tylko: polskich filozofów marksistowskich?

Tak potocznie sądzono, to prawda. Filozofa w zasadzie utożsamiano z pyskatym marksistą, komunistą i członkiem partii. Poza środowiskiem mało kto wiedział, że istnieli też inni. Filozofów uważano za ludzi zaprzędanych systemowi, dwulicowych i nieuczciwych w szczególnie niesmaczny sposób, bo kupczących umysłem, głoszących z namaszczeniem historiozoficzne bzdury, legitymizujące rządy narzuconej przez sowieckich komunistów władzy. To ci ludzie uczyli młodzież na studiach, przekonywali do marksizmu w ramach szkoleń partyjnych, czasem wysilając się, aby im uwierzono, a czasem

wręcz przeciwnie, puszczać oko do inteligentniejszych słuchaczy. Albo więc durnie, albo zakłamani do ostateczności aroganci, albo zwykli, oportunistyczni mali dwulicowcy. Czasem nawet sympatyczni, bo podobni do większości ówczesnej polskiej średniej klasy. Ot, cwaniacy na swój sposób. Przecież z tego żyli. A teraz udają, że nic się nie stało. Szybko zmienili temat, i nadal chcą się w tym fachu utrzymać. Proste!

Czyż można przenieść ten prościutki schemat wyjaśniający na prominentnych akademickich filozofów marksistowskich? Głoszących z przekonaniem i zapewne szczerze, nierzadko w wyrafinowanej formie, marksistowskie idee? Stosujących w solidnych nieraz analizach naukowych marksistowskie metody badawcze? Mieniących siebie marksistami – cokolwiek to dla nich znaczyło – ze względów osobistych, głęboko przeżywanych? Byli teraz na Zjeździe – a jednak o marksizmie już się nie zajęknęli. Oni, wyznawcy marksizmu jeszcze w chwili upadku partii.

Milczeli też *solidarnie* inni filozofowie, których rok 1989 zaskoczył jako – wymieńmy tu kategorie nieostrego i nierozłącznego podziału – marksistów wątpiących, marksistów odchodzących, byłych marksistów, marksistów deklarowanych. Milczeli, wcale liczni, filozofowie, którzy nigdy z marksizmem się nie utożsamiali, reprezentanci tomizmu, fenomenologii, filozofii analitycznej, egzystencjaliści, hermeneutyki, postmoderniści, i wielu innych. Wreszcie, milczała młodzież, szukająca nieraz dopiero własnej drogi, często zresztą u boku do-niedawna-marksistów, młodzież, która nie mając żadnego wkładu w minioną epokę mogła łąco zapytać patronów i starszych kolegów: „Dlaczegoście to wtedy robili?”. Nikt z młodych nie zapytał.

Milczano solidarnie. A przecież to nie owce. Wobec takiego zróżnicowania środowiska filozoficznego, musiano milczeć z rozmaitych powodów. Niektóre przynajmniej spróbuję odgadnąć.

Aby nie ulec pokusie nadmiernych uproszczeń, przypomnijmy sytuację w obozie polskiego marksizmu w połowie 1989 roku. Obowizowało to – po spustoszeniach lat 1980-81 – pustoszało nadal przez całe lata osiemdziesiąte, podobnie jak już dawno tylko deklaratywnie marksistowska partia. Wśród pozostałych, do których już rzadko doszlusowywali neofici, ruch był spory, głównie odśrodkowy. Skutki szoku wolności pierwszego okresu „Solidarności”, a w partii – ruchu

„poziomek” – były nie do odrobienia, nie do cofnięcia. Wielu filozofów szczerze ugruntowanych w marksistowskiej wierze spostrzegło nagle ze zdumieniem i ogromnym rozczarowaniem, w roku 1980, że społeczeństwo, a już zwłaszcza mitologizowani przez nich robotnicy, w ogóle ich i tej ich wiary nie potrzebują i przez cały czas uważali ich i uważają za karierowiczów i kłamców. Że wcale nie reprezentują „proletariatu”, a jedynie interes „pierwszej w świecie ojczyzny proletariatu”. Że prawie cały naród polski nie docenia też ich uczestniczącego poświęcenia w jego obronie przed sowieckim imperializmem. Potem kolejny cios odebrał wielu spośród nich resztki złudzeń: strzały na „Wujku”, terror wobec całego społeczeństwa. Bardzo dziwne zaiste zachowanie partii jako wyrazicielki interesów ludzi pracy. Kto trzeźwiał już wcześniej, temu teraz definitywnie łuski spadły z oczu. Inni – zaczęli trzeźwieć. Wielu, po wytrzeźwieniu z marksistowskiego obłądzenia, pozostało jednak politycznie na tym samym miejscu. Przemieniła im się tylko osobista ideologia (na *Realpolitik*: poświęcenie swego dobrego imienia na ołtarzu dobra narodu – poprzez nieuniknioną służbę interesom Wielkiego Brata). W warstwie filozoficznej było to równoznaczne z porzuceniem szczerości w głoszeniu marksizmu. Otoczenie mogło tej transformacji jeszcze długo nie zauważać.

W latach 80-tych nie ustawała wędrówka marksistów ku peryferiom ich nieckowatego obozowiska, choć posuwali się w różnym tempie i ku różnym przejściom granicznym. Ze zdumieniem spoglądali na mijających ich z rzadka tych, którzy teraz właśnie wracali i spieszyli zająć zwolnione posady centralne. Całe to widowisko obserwowali z zasłużonym już, czasem też: badawczym, spokojem ci, którzy już wcześniej definitywnie opuścili ów kocioł – *byli* marksiści. Zachęcali kolegów, zagrzewali w wątpliwościach i rozchwianiu, podrzucali podziemne i zachodnie lektury, załatwiali zagraniczne stypendia, nie szczędzili pochwał za odważne rozstawanie się z proletariacką wiarą. Na ogół nie cierpieli znaczniejszych prześladowań, chyba że imali się walki wręcz. Ilość ortodoksyjnych marksistów tak zmalała, iż partia tolerowała, a nawet kokietowała wielu wątpliwych towarzyszy partyjnych, godząc się chętnie na określanie ich krytyk jako twórczych poszukiwań. Złościło to niepomiernie jedynie kilku wytrwałych, lub świeżo upieczonych ortodoksów. Nawet i odszcze-

pieńcy liczyć mogli na pobłażliwość, gdyż władze, po pierwsze, już od dawna przestały traktować swą ideologię serio, a po drugie, budowały właśnie swój nowy, cywilizowany, europejsko-socjaldemokratyczny *image*. Czerwiec 1989 roku zastał w centrum – jeśli mówić o akademickich filozofach – kilku marksistowskich guru i nieliczną gromadkę aspirantów o niejasnych motywacjach. Sporej liczbie wątpiących i odchodzących było już tak blisko do krawędzi niecki, że jednym susem – nareszcie z poczuciem czystego sumienia – wydostali się na zewnątrz, wpadając czasem z rozpędu wprost do antyobozowisk. Lepiej późno niż wcale, mogli sobie pogratulować. Tylko ci w samym centrum spoglądali z niedowierzaniem lub już wściekłością na nieoczekiwane salto – dla nich samych... mortale – dialektycznej rzeczywistości.

Minęło sześć lat. Właśnie miało dojść znowu – po raz pierwszy od upadku cesarstwa marksizmu – do spotkania wszystkich polskich filozofów w jednym miejscu. W ciągu tych sześciu lat obserwowali siebie ostrożnie i na ogół taktownie z różnych lokalnych – i lokalnie lojalnych wobec wciąż tych samych szefów – siedlisk. Teraz jednak spotkać się mieli w całej gromadzie, tak licznej, iż – można się było spodziewać – tłumione instynkty wyrwą się spod kontroli, cisnące się na usta pytania zostaną zadane, głębokie, może pełne skruchy, wyznania zostaną wyznane, wcześniej głoszone zaocznie oskarżenia zostaną powtórzone *en face* oskarżonym, a ferowane kapturowo wyroki poddane zostaną weryfikacji przed sądem apelacyjnym całego środowiska. Nic takiego się nie stało. Co prawda, najpoważniejszych oskarżonych jednak zabrakło. Ale żeby się tak wcale nie pokłócić? Przeciwnie nawet – okazać sobie tyle uprzejmości, ba, serdeczności? (Tak właśnie było. Sam tam byłem, miód i wino piłem.) Co o tym myśleć?

Naturalnie ktoś może określić jako szczyt naiwności spodziewanie się czegoś innego. I choć się za naiwnego – już – nie uważam, czuję zakłopotanie wobec fenomenu zdającego się potwierdzać zbyt prostą, chyba prostacką hipotezę. Że cały marksizm w Polsce był intruzem, narzucony, potem wymuszony, a jego wyznawcy – obłudnikami. Wystarczył upadek dworu, aby lizusi i pochlebcy zamilkli. Sam wiem, że można było być szczerym i głęboko przekonanym marksistą. Wiem, bo nim byłem. I nie ja jeden. I wiem, że odchodzenie mogło być trudne i długie, i też szczerze. Nie spowodowane dopiero rozwią-

zaniem drużyny, lecz rozczarowaniem jej polityką, przy zachowaniu resztek suwerennej pracy własnego umysłu. Na Zjeździe też milczałem. Czekałem na rozpoczęcie dyskusji przez innych.

Wraca zatem pytanie: czy był już pogrzeb? Dlaczego tak cicho było nad tą trumną?

Niektórzy milczeli zapewne ze wstydu. Do końca trwali w (o)błądziej, może już (dopiero!) wątpiac, ale nie zdążywszy odejść. Wyszło kiepsko. Dali dowód albo infantyilizmu umysłowego, albo głupoty politycznej. Ci, którzy najbardziej i najtrwalej się zaangażowali – nie widząc możliwości odwrotu lub nie będąc zdolni do tego – postanowili zresztą z desperacją trwać na straconej pozycji, odrzucili wstyd, ale też i szansę rozmowy. I na spotkanie nie przyjechali. Może się bali? Może hardo wzgardzili stadem baranów pędzących już za innymi przewodnikami? Tym razem w kierunku zachodnim?

Inni ostatni koryfeusze marksizmu byli jednak na Zjeździe. Co robili? Na ogół dołączyli do szerszego grona wyznawców racjonalizmu (bardzo teraz modna orientacja-wytrych!), w przekonaniu, że marksizm do tej tradycji właśnie należał (dobre sobie!), że jest to właściwie owo zachowujące rozwinięcie – umiłowane, heglowskie *Aufhebung* – a może nawet jedynie inna nazwa. Podobnie jak uprzedni synonim: filozofia naukowa. Tu zesli się z grupą filozofów analitycznych, nie wiem czy do końca zadowolonych z tego towarzystwa. Innych marksistów, lub do-niedawna-marksistów odnaleźć można było po przeciwnej stronie aktualnej barykady: w niejasnym obozie hermeneutyków (w ustach poprzednich, „hermeneutyk” to teraz inwektywa). Tu zastali nieco skonsternowanych hermeneutyków proveniencji raczej religijnej. Najłatwiej poszło marksistowskim filozofom nauki, z których większość od pewnego czasu zachowywała ów ideologiczny przymiotnik li tylko gwoli kokietowania towarzyszy z centrali, znajdując u pozostałych badaczy nauki (już im darowali wyzywanie od neopozytywistów). Ogólnie biorąc, różne marksści znaleźli przytuliska, zgodnie z czytelnymi już w minionym okresie wewnętrznymi zróżnicowaniami i predylekcjami. A o marksizmie – sza! Sądzę jednak, że najbliżsi marksizmu pozostali wspomniani „racjonalści”, z niezwykłą czułością, pietyzmem i zaciekłym przywiązaniem odnoszący się do tego szyldu. U nich szczególnie owo milczenie zdawało się wołać głośno, że jeszcze pies żyje, pogrzebu nie było.

Cóż było robić *byłym* marksistom, którzy zdążyli w całości odbyć swą drogę poza marksizm w epoce wcześniejszej, kiedy nie dawalo to na ogół profitów i było wynikiem wewnętrznej ewolucji i krytycznego przyswajania rzeczywistości? Pierwszym wszczynać spór? Teraz? Kiedy – jak sądzili, oponent leży bezradny? Był czas, kiedy taka krytyka była aktem odwagi. Sami mieli to zauroczenie za sobą, może koledzy mieli pecha i za bardzo się guzdrali? Nie zdążyli wyewoluować? Teraz im wypominać grzechy, z których samemu zdążyło się już jakoś wykaraskać, naigrawać się z biedaków, toż to zakrawałoby na schadenfreudyzm. Co innego, gdyby tamci wszczęli hardo bójkę... Albo zostali zaatakowani przez trzecią grupę – czystych, schludnych, dawniej stojących na uboczu polityki niemarksistów. Może nawet wtedy trzeba by wziąć dawnych kolegów w obronę?

I tak czekali, nie doczekali się. Może to błąd, jeśli spojrzeć uważnie na agresywne nuty w wystąpieniach niektórych „racjonalistów”? A nuż czują się nadal jedynymi prawdziwymi wyrazicielami obiektywnych interesów – no, powiedzmy teraz: ludzi? I czy to uprzejme milczenie ich zanadto nie zachęci? A ta arogancja, z jaką napadnięto na postmodernistów? I tych tam różnych hermeneutyków? Pluralistów i nowinkarzy? Oskarżonych o uleganie niegodnym Polaka modom? A padły takie głosy. Może też nazbyt obcesowo próbowano w jednym z wystąpień obciążać grzechem kłamstwa wszystkich po równo, niezależnie od szkoły filozoficznej, wyznania, opcji politycznej – co zapewne dawało oskarżycielowi poczucie jakiegoś komfortu. A ów inny prokuratorski głos, obwieszczający w uwodzicielskiej logicznie i aktorsko formie, iż niektórzy ludzie zasługują na śmierć, gdyż zagnieździła się w nich antysprawiedliwość. Już nie, jak dawniej, dla postępowej konieczności historycznej, dla dobra ogółu czy przyszłych pokoleń, ale mimo wszystko powiało grozą.

Nie odezwali się też niemarksści. Zachowali się taktownie. Nie chcieli brać odwetu. Zwłaszcza pod nieobecność głównych do niedawna adwersarzy. Milczeli, choć w przeszłości nieraz dotknęły ich „posunięcia organizacyjne” partii, idące w ślad za pryncypialną krytyką tamtych. Ze spokojem i kulturą prowadzili merytoryczną dyskusję, starannie unikając schodzenia w stronę pasa. A nuż by się ześlizgnęło, lub ktoś o to posądził?

I tak Zjazd dobiegł nader spokojnie, taktownie, życzliwie – do końca. Tabu zostało utrzymane. Nie wiem czy bezwzględnie i do końca, gdyż w sekcjach, których były dziesiątki, mogły mieć miejsce jakieś drobne potyczki, być może też w obradach sesyjnych coś się komuś wymknęło, lub w mowie końcowej, której nie dane mi było wysłuchać. Ale do próby zrozumienia przeszłości marksistowskiej nie doszło. Nie małą rolę odegrała zapewne solidarność zawodowa całego środowiska. Nie tylko *bon ton*. Zjazd odbywał się jednak na scenie publicznej.

Czy dobrze się stało? Coraz bardziej w to wątpię. Czy to wyjdzie polskiej filozofii na zdrowie? Już lepiej było narazić na szwank nerwy uczestników i dobre imię całego środowiska, i podjąć próbę spojrzenia prawdzie w oczy. Pozostały niedomówienia, pozostało jakieś kłamstwo. Kto wie, czy się wszyscy od tego jeszcze nie pochorujemy.

Kazimierz Ślęczka, Cieszyn, 28 IX 1995 roku
